Dodatek do Nr. 264 „Głosu Narodu“.

Kraków, 1 października 1933 r. I.

GŁOS LITERACKO - NAUKOWY

wychodzi w niedzielę jako bezpłatny dodatek „GŁOSU NARODU“

Henryk Sienkiewicz w Śmiełowie

Dwa nieznane listy wielkiego pisarza

Dnia 16-go września 1899 roku w majątku państwa Kościelskich w Miłosławiu odbywała się piękna i podniosła uroczystość. W olbrzymim parku, okalającym pałac, odsłonięto pierwszy w Polsce pomnik Juljusza Słowackiego; pomnik ten, dłuta Władysława Marcinkowskiego, wzniósł własnym kosztem Józef Kościelski, wielbiciel Słowackiego, jako wyraz swych uczuć i hołdu nieśmiertelnemu wieszczowi.

Henryk Sienkiewicz przybył specjalnie na tę uroczystość do Miłosławia. Ten który tak ukochał mowę polską i tak jej mistrzowsko umiał użyć, stanął pod pomnikiem poety, który tę mowę podniósł w poezji do najwyższej doskonałości, najpiękniejsze z niej dźwięki i blaski wykrzesał. Swoje przemówienie inauguracyjne poświęcił Henryk Sienkiewicz właśnie mowie polskiej; podkreślił, iż została nam dana od Boga, jako skarb bezcenny, którego strzec i szanować jest naszą powinnością.

Autor „Trylogji“ zabawił krótko w Miłosławiu. W towarzystwie swych starych przyjaciół redaktora „Słowa“ (warszawskiego) Mścisława Godlewskiego i d-ra Antoniego Donimirskiego, udał się do położonego w sąsiednim powiecie majątku państwa Chełkowskich, Śmiełowa. Śmiełów był naszemu wielkiemu pisarzowi szczególnie drogi, — choć nie był w możności często i dłużej tam przebywać, — a to ze względu na znajdujące się tam pamiątki po Adamie Mickiewiczu i na dawną znajomość z rodziną Donimirskich: z rodziny tej pochodzi żona obecnego właściciela Śmiełowa, pani Marja Chełkowska, którą Henryk Sienkiewicz znał od dziecka.

Śmiełów leży w najpiękniejszej okolicy województwa poznańskiego. Na szczególną uwagę zasługuje pałac śmiełowski, wzniesiony pod koniec XVIII. w. Zbudował go, rozmiłowany w uroku Śmiełowa Andrzej Gorzeński, ówczesny właściciel majątku. Pałac ten budował znany architekt Stanisław Zawadzki, wnętrze zdobili malarze Smuglewicze, nad sztukaterjami pracował Ceptowicz, któremu odpowiednich rysunków dostarczył Merlini, nadworny architekt króla Stanisława Augusta.

Tutaj to w r. 1831 gościł Adam Mickiewicz. Przybył on do zaprzyjaźnionej z nim rodziny Gorzeńskich, łaknąc wypoczynku i spokoju.

W prawem skrzydle pałacu, niewielki, zaciszny pokój, z którego okien widać rozległe pola i wzgórza okryte lasami, zajął Adam Mickiewicz. Stąd spoglądał na polską ziemię, którą tak miłował i na krajobraz tchnący spokojem, przypominający mu tak żywo ojczystą Litwę.

Z nadzwyczajnym smakiem założony i utrzymany park był miejscem samotnych przechadzek i rozmyślań wieszcza. Szczególnie upodobał sobie małą, na skraju parku położoną polankę, gdzie wznosił się olbrzymi, rozłożysty dąb; na kamiennej ławeczce, umieszczonej pod królewskiem drzewem przesiadywał Mickiewicz najchętniej. Tu snuł swoje marzenia, tutaj powstały fragmenty „Pana Tadeusza“, jak opis drzew ojczystych, żywo przypominający ugrupowania drzew w śmiełowskim parku.

Dąb ten nosił odtąd nazwę dębu Mickiewicza. Niestety, w r. 1924 gwałtowna burza strzaskała wspaniałe drzewo, tak, że dzisiaj pozostał tylko szeroki pień, starannie chroniony przed zniszczeniem.

Tak więc złożywszy hołd poecie, który smutnie przepowiedział że „imię moje będzie, jako błyskawica i będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia“... — przybył Henryk Sienkiewicz do Śmiełowa, aby uchylić czoła przed pamiątkami po wieszczu, który w sercach rodaków spiżowe już posiadał posągi. Przyjmowali go obecni właściciele Śmiełowa Józef i Marja Chełkowscy. Z ich to ust znane mi są szczegóły pobytu w ich majątku wielkiego pisarza i choć — ze względu na krótki jego pobyt — nie jest ich zbyt wiele, rzucają one nowy promień na drogą nam postać.

Henryk Sienkiewicz bawił w Śmiełowie tylko trzy dni. Pobyt jego przypada na 20—23 września 1899 r. Właściciele Śmiełowa, pragnąc okazać cześć wskrzesicielowi rycerskiej naszej chwały, umieścili go w pokoju, przylegającym do zajmowanej niegdyś przez Mickiewicza komnaty i połączonym z nią drzwiami. Henryk Sienkiewicz z głębokiem wzruszeniem oglądał pamiątki pozostałe po wieszczu, stąpał uświęconemi stopą Mickiewicza drogami w parku, patrzył na wspaniały i w całej swej jeszcze krasie szumiący dąb jego imienia.

Uderzały w Sienkiewiczu dwie charakterystyczne właściwości jego usposobienia: był niezwykle skromny i małomówny. Uśmiech jego, rzadko podobno jawiący się na obliczu autora „Quo vadis?“, posiadał niezwykły czar, podbijający serca ludzkie. Szczególnie promiennie błyskał on na twarzy Sienkiewicza na widok dzieci. Miłość jego ku dzieciom, stanowi trzeci, piękny rys jego charakteru. Świadczy on bodaj najdobitniej o dobroci, szlachetności i słodyczy, jakiej pełne było jego kochające serce.

Miłość do dzieci znalazła wyraz w miłym epizodzie, jaki zaszedł podczas jednej wieczerzy w Śmiełowie. Najstarszy, syn państwa Chełkowskich, Franciszek, liczył w czasie pobytu Henryka Sienkiewicza — 100 dni. Przyniesiono niemowlę w powijakach do jadalni; Sienkiewicz wziął je na ręce, podniósł w górę napełniony winem kieliszek i rzekł z czarującym uśmiechem:

„Wznoszę ten kieliszek,
Niech żyje pan Franciszek!“

Ten żartobliwy, rymowany toast, wypowiedziany z takim miłym, dobrotliwym humorem, podbił odrazu serca całej rodziny.

Kiedy „pan Franciszek“ skończył 10-ty rok życia, „Kurjer Warszawski“ począł drukować „W Pustyni i Puszczy“. Chłopak z takiem zainteresowaniem wczytywał się w to barwne opowiadanie, iż nie mógł doczekać się następnego numeru; zachwycony losami Stasia i Nel, napisał dziękczynny list do Sienkiewicza, wyrażając mu słowa podzięki za cudowną powieść dla młodzieży. List ten odszedł wraz z listem matki do Warszawy. I oto kochające dzieci serce genjalnego pisarza, podyktowało mu następujący list, który mały Franuś ku swojej bezgranicznej radości w odpowiedzi otrzymał:

Kraków, 12. III. 1911 r.

„Kochany Franusiu! Cieszy mnie bardzo, że przygody Stasia i Nel budzą tak wielkie zajęcie między małymi czytelnikami. Drukuje się teraz Część II-ga, w której dzieci te, uwolnione już z rąk okrutnych Sudańczyków, podróżują same po Środkowej Afryce. Będzie tam jeszcze więcej rozmaitych przygód i spotkań z dzikiemi zwierzętami, spodziewam się więc, że tę drugą część przeczytasz z niemniejszą ciekawością. Donoszę Ci także, że jeden z księgarzy warszawskich wyda całą powieść z obrazkami na gwiazdkę i że, jak tylko ta książka się ukaże, to ci ją przeszlę.

Ściskam serdecznie
Henryk Sienkiewicz.“

List ten nadszedł wraz z listem do p. Marji z Donimirskich Chełkowskiej.

Kraków, 12. III. 1911 r.

„Szanowna i Łaskawa Pani!

List Jej szukał mnie trochę po świecie, tak, że mogę odpowiedzieć na niego dopiero z Krakowa, z tego powodu powstała zwłoka, za którą jaknajmocniej przepraszam.

Rad jestem niewymownie, że „W Pustyni i Puszczy“ znajduje między dziećmi chętnych czytelników. Oddawna postanowiłem już napisać coś dla młodzieży. Znalazłszy więc stosowną chwilę, zabrałem się do pracy. Ułatwiło mi ją niezmiernie to, że sam byłem w Afryce; widziałem te kraje, które opisuję. Nadaje to opowiadaniu pewną cechę realności i zapewne dlatego czytają je i starsi.

Bardzo dziękuję Łaskawej Pani za Jej tak miły list. Pamiętam bardzo dobrze i te dawniejsze czasy, w których miałem przyjemność poznać Łaskawą Panią, jeszcze jako dziewczynkę nie większą od Nel — i mój późniejszy pobyt w Śmiełowie. Gdybyśmy żyli w innych warunkach, nie omieszkałbym zapukać niekiedy do gościnnego domu Szanownych Państwa, z którego wywiozłem tak miłe wspomnienie. Sądzę jednak, że obecni Niemcy wyprosiliby mnie natychmiast z Księstwa jako „uprzykrzonego cudzoziemca“. Widziałem wszelako w życiu tyle zmian politycznych, że nie będę się dziwił, jeśli jedna więcej nastąpi... byle pozbyć się jarzma rosyjskiego, które nietylko uciska, ale i deprawuje...

W Krakowie bywam często, gdyż syn mój, którego Łaskawa Pani widziała niegdyś jako kilkuletniego chłopczyka, skończył już przed kilku laty szkołę architektury w Paryżu i obecnie należy do grona architektów restaurujących Zamek na Wawelu. Może pomyślny los zdarzy, że będę miał zaszczyt spotkać kiedy Szanownych Państwa w Krakowie, dokąd bardzo często zjeżdżają mieszkańcy Księstwa.

Tymczasem dziękuję uprzejmie za łaskawą pamięć i załączam dla Obojga Szanownych Państwa wyrazy najgłębszego poważania i szczerej przyjaźni

Henryk Sienkiewicz.“

Oba te listy w oryginale znajdują się w posiadaniu pani Marji Chełkowskiej w Śmiełowie; łaskawie przesłane mi kopje umieszczam w dosłownem brzmieniu.

Spełniając swoją obietnicę, przysłał Henryk Sienkiewicz w upominku gwiazdkowym Franciszkowi Chełkowskiemu pięknie wydaną powieść „W Pustyni i Puszczy“ z własnoręczną dedykacją.

Oprócz tych wymownych dowodów miłości Henryka Sienkiewicza ku dzieciom, powszechną uwagę tych, co mieli szczęście zetknąć się z wielkim pisarzem, zwracała jego skromność i małomówność. Zważywszy na opromieniającą go już wówczas sławę, na olbrzymie zasługi, jakie położył, podtrzymując w sercach ogień wiary i męstwa, skromność jego budziła podziw i pogłębiała cześć i szacunek, jaki każdy żywił ku niemu.

Małomówność jego, pominąwszy fakt, że była wrodzoną Sienkiewiczowi cechą, była także szańcem i bronią przeciw niedyskretnym pytaniom o jego dzieła i o literaturę w ogólności, z jakiemi się bardzo często na gruncie towarzyskim spotykał. Pytań tego rodzaju Henryk Sienkiewicz szczególnie nie lubił, a najbardziej nużyła go i męczyła, rozmowa i wplatane w nią zachwyty nad jego dziełami.

Cichy, łagodny, milczący Sienkiewicz był nieskrępującym, miłym gościem. To też, gdy po trzydniowym pobycie, opuszczał gościnne progi Śmiełowa, żegnano go z żalem. Wyrażając gospodarzom słowa podzięki za uprzejme przyjęcie, genjalny pisarz dziękował specjalnie za to, że unikano rozmowy o jego dziełach i nie dręczono go pytaniami, dlaczego tak a nie inaczej pokierował losami swych bohaterów. Wyraził się potem do jednego z przyjaciół, wspominając pobyt w Śmiełowie: — „Śmiełów — jedyny dom, w którym mogłem odetchnąć! Nie mówiono ze mną o literaturze!“ Słowa te stanowią najmilszą dla Państwa Chełkowskich podziękę za gościnność i najdobitniej podkreślają niekłamaną, istotną skromność Henryka Sienkiewicza.

Pan Józef Chełkowski, pragnąc uczcić i upamiętnić pobyt znakomitego gościa w swym domu, kazał nad drzwiami pokoju, w którym mieszkał Henryk Sienkiewicz, umieścić marmurową tablicę z napisem: „Tu mieszkał Henryk Sienkiewicz w r. 1899“. Tablica ta znajduje się naprzeciw drugiej, umieszczonej nad przeciwległemi drzwiami: „Tu mieszkał Adam Mickiewicz w 1831 r.“.

Garść tych szczegółów, rzucających nowe światło na charakter twórcy „Trylogji“, dodaje blasku aureoli Jego świetlanej postaci i czyni nam ją bardziej jeszcze bliską i drogą.

MARJA SZAYNOWA

Warszawa, dnia 12 września 1933 r.

Djabeł i kobieta

Wiecznotrwałość motywów literackich

Raz wymyślony motyw literacki jest rzeczą niezniszczalną. Wraca raz po raz, raz w jednem, raz w drugiem piśmiennictwie, raz w tej, raz w innej formie, raz powtórzony bez zmian, raz przetworzony tak, że trudno go na pierwszy rzut oka rozpoznać. W średniowiecznych romansach rycerskich pojawiają się mity starożytne i opowieści wschodnie, przyniesione przez krzyżowców do Europy. Przez całe wieki ciągną się szeregi ballad, ludowych i artystycznych, osnutych na tym samym przedmiocie, który przechodzi z nich później do innego rodzaju poezji, np. do dramatu. Faust i Don Juan wracają w coraz nowej szacie. Prometeusz przebywa drogę od naiwnie wierzącego w Olimp greckiego Aischylosa do ateisty i rewolucjonisty Shelley'a. Z górnych rejonów twórczości artystycznej przedmiot przeciąga do dolnych warstw poezji ludowej, aby potem, jak parująca woda, wznieść się znowu ku górze. Jak w wodzie bieżącej, odbijają się kolejno różne widoki, tak poszczególne epoki i środowiska wyciskają na pierwotnym materjale swe piętno, czasem tylko przynosząc nowe akcesorja, lecz często nadając nową treść ideową i podkład symboliczny.

Nie o żadnym z „wielkich" motywów w rodzaju Fausta czy Prometeusza chcę mówić, bo na to trzeba całych tomów. Wybieram motyw mniej sławny, ale tak charakterystyczny, że gdy nań natrafimy, trudno go nie zidentyfikować. Nie będę silił się na kompletność, przytaczając przykładowo kilka opracowań z różnych literatur i epok. Nie będę też zajmował się dokładniej drogami, po których motyw wędrował z jednego środowiska w drugie.

MACCHIAVELLI

Nie tylko teoretykiem polityki i historjozofem był Mikołaj Macchiavelli, lecz i belletrystą. Jako typowy syn epoki odrodzenia, wychowany na literaturze starożytnej, odbiegł daleko od średniowiecznego kultu kobiety, którą traktował cynicznie. Od niego to pochodzi aforyzm, że kto szuka żony, ten wkłada rękę do worka pełnego żmij, aby z pośród nich na ślepo wydobyć jedynego węgorza. W komedji „Mandragola" puścił Macchiavelli wodze swawolnej wyobraźni i popadł w godną Poggia pornografję, a nawet i w niemoralną tendencję.

Swój mizoginizm ujął jednak autor „Księcia" przedewszystkiem w nowelę o djable, który za wiedzą swej władzy przełożonej udaje się na ziemię, aby zbadać, czy niewiasty są rzeczywiście tak przewrotne, jak to się mówi, nienardzo bowiem w to wierzy. Przybrawszy na się ludzką postać, przybywa Belfegor do Florencji, poślubia pannę ze znakomitego domu i, terroryzowany, dręczony, zdradzany, przekonywa się, iż rzeczywistość przewyższa jeszcze wszelkie opisy. Po tem pożyciu małżeńskiem powrót do piekła stanowi wybawienie.

Kobieta zatem, i to młoda i niedoświadczona, wychodzi tu jako djablica, djabeł jako naiwniejszy od młodej, niedoświadczonej kobiety; kobieta jako gorsza od djabła, djabeł jako głupszy od kobiety.

HAUGHTON

Nowela Macchiavella, przetłumaczona na angielskie przez Barnabę Richa, stała się ulubionym tematem dramaturgów elżbietańskich, którym dostarczała pożądanych silnych efektów. Znamy dwie oparte na niej sztuki i wiemy o trzeciej zaginionej.

William Haughton w dramacie „Djabeł i jego połowica" przejaskrawił jeszcze jaskrawą opowieść Włocha. Żona Belfegora jest tu nierządnicą i stręczycielką, a w chwili, gdy kończy się biedakowi rok pobytu na ziemi, usiłuje go właśnie otruć. Ponieważ wraca on do piekła z przyprawionemi mu przez sympatyczną niewiastę rogami, Pluto zarządza, że będą one odtąd ozdobą wszystkich głów djabelskich. Wprowadza także Haughton drugiego czarta, Ackercocka, dodanego Belfegorowi przy jego wyprawie na ziemię w charakterze sługi. Nad tym śmiertelna pani znęca się tak, że biedak ucieka i włóczy się po kraju jako Robin Goodfellow — postać z wierzeń ludowych, czasem psotna, czasem dobroczynna, a znana nam dobrze (także pod imieniem Pucka) ze „Snu nocy letniej" Szekspira.

Inny trzeciorzędny dramaturg elżbietański, Robert Daborne wprowadził w wątek sztuki na ten sam temat samego twórcę historji o Belfegorze. Świadczy o tem tytuł dramatu „Macchiavell i djabeł", ale prócz tytułu nic się nie zachowało.

BEN JONSON

Najwybitniejszy poszekspirowski komediopisarz Ben Jonson podjął przedmiot w okresie, gdy jego talent zaczynał się już wyczerpywać. W myśl klasycznego credo, którego był wyznawcą, zredukował czas trwania akcji do jednego dnia, przez co mocno popsuł prawdopodobieństwo. Dodał zawikłaną i obfitą akcję, w której Belfegor, przechrzczony (jeżeli można wyrazić się tak o djable) na Puga, jest tylko widzem i popychadłem. Co do samej treści, zapożyczonej z Macchiavellego, to Jonson stępił jej antykobiece ostrze. Jakkolwiek mąż damy, do której umizga się Pug, jest osobistością śmieszną i nawet wstrętną moralnie, djabeł zostaje sromotnie odtrącony. Wogóle jest to kobieta cnotliwa (aż szkoda jej do takiego małżonka). W jednej chwili jej słabości, kiedy mogłaby upaść, przeszkadza temu Pug, powodowany zazdrością — za co później będzie w piekle surowo ukarany.

Wogóle nacisk spoczywa tu na głupocie Puga, którego Szatan posyła już na ziemię potem, aby na własnej skórze stwierdził, że mógłby on co najwyżej działać skutecznie gdzieś na prowincji angielskiej, ale w Londynie będzie ofiarą. Jest to czart naiwny i chciwy użycia. Obiecuje sobie, że w ciągu owego dnia zakosztuje słodyczy każdego ludzkiego grzechu. Tymczasem spadają nań kije, wymyślania i inne przykrości, a wieczór zastaje go w kajdanach w więzieniu Newgate. Szatan posyła do niego tradycyjną postać starych dramatów moralnych, zwaną Nieprawością. Ta oznajmia naprzód więźniowi, że monarcha piekieł przydłuży mu urlop o miesiąc, aby mógł być za swą głupotę lege artis powieszony. Lecz byłoby to zbyt wielką hańbą dla podziemnego królestwa, więc Nieprawość — zupełnie, jak działo się w dramatach moralnych — bierze go na barana i unosi z celi. Zgodnie z całem ujęciem tematu tytuł brzmi „Djabeł jest osłem".

MICKIEWICZ

Najweselsza z ballad Mickiewicza, „Pani Twardowska", ma treść samoistnie wymyśloną przy zużytkowaniu całego szeregu najrozmaitszych podań i wierzeń (karczma Rzym, woda święcona, szczegół, że Twardowski nie został mimo podpisania cyrografu potępiony i t. d.). Zakończenie jest niewątpliwie echem noweli o Belfegorze, znanej poecie zapewne z jakiegoś przetworzenia — w okresie pisania ballad umiał on bardzo niewiele po włosku. Nowym efektem jest to, że djabeł nawet nie próbuje pożycia z kobietą. Na to jest za mądry, jakkolwiek równocześnie zostaje oszukany i nie dostanie duszy czarnoksiężnika. Pozostaje on wogóle na drugim planie, na pierwszym mamy (w zakończeniu) kobietę widocznie o okropnym wyglądzie i djabelskiem usposobieniu, przed którą Mefistofeles „czmychnąwszy dziurką od klucza, dotad, jak czmychnął, tak czmycha".

TETMAJER

Kazimierz Tetmajer wskrzesił nasz motyw w humorystycznej noweli „Jak baba djabła wyonacyła" ze zbioru „Na skalnem Podhalu" stanowiącego, zdaje się, koronę jego twórczości. I djabeł jest tu głupi, i baba z piekła rodem. Napędza go ona wciąż do pracy i nie daje mu spokoju w nocy, aż biedaczysko uzna, że przegrał zakład, zapewniając tryumf chytrości chłopskiej. Nowością jest koloryt regjonalny, widoczny już w dialektycznem słowie „wyonacyć" z tytułu, oraz tendencja społeczna. Bo przecież mamy tu i myśl, że ciężkiej doli polskiego chłopa, zwłaszcza siedzącego na skalnym gruncie podhalańskim, i sam djabeł nie wytrzyma. Nowela odznacza się werwą i znaczną drastycznością — a ilustracje Zofji Stryjeńskiej są jeszcze drastyczniejsze od tekstu.

KRZYWOSZEWSKI

Ku ujęciu tematu przez Jonsona zawrócił — chyba bezwiednie — Stefan Krzywoszewski w „Djable i karczmarce". Jego bohater nie jest jednak osłem, to czart dostojny i biegły w swych sztukach, szczególnie w sztuce uwodzicielskiej. Wysłany zostaje na ziemię w specjalnej misji, ma dybać na cnotę pięknej wdówki po karczmarzu. Dobry technik dramatyczny dodaje mu do boku cały zastęp djabłów i djablic, czyniących w swojem kółku, co każe duch... piekielny, rzuca akcję na tło okresu między r. 1795 a 1806, kiedy w Warszawie siedzieli Prusacy, — naturalnie dla wprowadzenia malowniczych kostjumów, antyniemiecki zaś nastrój Królestwa, z ostatnich lat przed wybuchem wojny światowej ujawnia przez to, że każe Rożnikowi występować w mundurze oficerskim gwardji jego królewskiej mości Fryderyka Wilhelma.

I Rożnik, jak Pug, nie osiąga swego celu. Nic jest to jednak tryumf cnoty. Karczmarka jest piękna, a głupia — coś, jak piekarka Eryfila w „Wyroku Zeusa". Lecz opór jej zaczyna już załamywać się w ogniu umiejętnej ofensywy szatańskiej, gdy zazdrosny towarzysz zdradziecko poi lubczykiem Rożnika, który z dziarskiego oficera zmienia się teraz w kwilącego Filona czy Albina i traci odrazu wszelkie szanse. Tym sposobem autor wypowiada myśl nieco cyniczną, że kobietę łatwiej zdobyć temu, kto udaje tylko uczucie i chytrze, a na zimno obmyśla posunięcia na miłosnej szachownicy, niż zakochanemu naprawdę.

Krzywoszewski zapewne nie czytał Bena Jonsona (który pierwszy partnerkę djabła uczynił kobietę cnotliwą), a już bez żadnej wątpliwości nie znał Haughtona (który pierwszy wysłał djabła na ziemię w asystencji służącego). Komedja stanowi więc dobry przykład faktu, że każdy motyw mieści w sobie pewną ograniczoną ilość możliwości, a opracowujący go często niezależnie od siebie wpadają na to samo.

Władysław Tarnawski.

Skon entuzjasty „czystej poezji"

Jak doniosły dzienniki, przed kilkunastu dniami zmarł ks. Henri Bremond, członek Akademji Francuskiej, znany entuzjasta tzw. czystej poezji. Zagadnienie „poesie pure" zostało przezń podniesione w formie pytania pod adresem Akademji i na jej terenie stało się przedmiotem ożywionych dyskusyj.

W sprawie tej wypowiedział się m. in. krytyk Jules Gaultier „Mercure de France", rok 1920, który, zwalczając tezy ks. Bremond, pozwala równocześnie zapoznać się z niemi.

Czem jest tzw. czysta poezja? — pyta Gaultier.

W zamierzchłych czasach, kiedy nie istniało słowo, ludzie — pragnąc przekazać sobie swoje przeżycia i wzruszenia w drodze najbardziej bezpośredniej, posługiwali się grą całego organizmu, tzn. gestykulacja, ruchy mimiczne i nieartykułowane dźwięki stanowiły ich „mowę". Taki sposób porozumiewania się uważać należy za niewątpliwie najbardziej bezpośredni. I jeżeli to była „czysta poezja" — to sprowadzała się ona do elementu biologicznego.

Ale w tym okresie rozwoju ludzkiego zakres przeżyć i wzruszeń był szczupły i wobec tego niewielka nawet ilość środków wyrazowych wystarczała. Oczywiście do pewnego czasu, z chwilą bowiem, kiedy w związku z rozwojem człowieka wzrosła ilość procesów psychicznych, musiał on szukać nowych sposobów komunikowania swoich przeżyć i wzruszeń bliźnim. Powstało słowo, które jednak, będąc czynnikiem intelektualnym nie zdołało i nie zdoła wiernie i bezpośrednio oddać stanów wzruszeniowych człowieka.

Straciła na tem poezja (ściślej liryka) która — zdaniem ks. Bremond — nie potrafi przekazać poetyckiego wzruszenia w formie czystej, bezpośredniej, którą to zdolność miała mowa ludzi pierwotnych, zwana orficzną. Poeta, posługując się rytmem i rymem, tylko niedokładnie może nam przekazać swoje wzruszenia. Poezja stała się kompromisem między dawnym czynnikiem biologicznym (szczątkami jego są rytm i rym) a nowym, intelektualnym, jakiem jest słowo. To nie wystarcza; trzeba wrócić do czystej poezji — mówił ks. Bremond.

Ale co nią będzie? — pyta Gaultier.

Czy „czystą poezją" będzie nawrót do mowy ludzi pierwotnych?

Gdyby tak się stało — zauważa Gaultier — że z poezji wyeliminowalibyśmy słowo, wówczas poeci wogóle nie mogliby porozumieć się z czytelnikami. Tak samo — dodaje — poeci nie powinni utożsamiać poezji z muzyką przez wysuwanie na plan pierwszy zagadnienia rytmu i rymu i równoczesne zacieranie treści.

* *

Pisać nie dlatego tylko, aby pisać — a więc nie uważać poezji za zabawkę, jak to robili poeci z końcem XVII. wieku i początku XVIII. i robi wielu ze współczesnych — innemi słowy mówiąc, nie pisać bez istotnego wzruszenia — oto jedyna uwaga, która nasuwa się przy rozważaniu zagadnienia, podniesionego przez ks. Bremond.

(wł p.).

Kobieta Wschodu

i jej rola w życiu społecznem

Pisarze i podróżnicy, którzy mieli sposobność zetknąć się bezpośrednio i obserwować przez czas dłuższy życie społeczne narodów wschodnich, wyrażają się na ogół bardzo pochlebnie o kobietach Wschodu, wielbiąc ich zalety i cnoty, ich wierność, pokorę, łagodność i przywiązanie.

Równocześnie jednak ubolewają wszyscy, dość zgodnie, nad życiem i losem tychże kobiet, które zasługują na inne, odpowiedniejsze traktowanie.

Dotyczy to w pierwszej linji Japonji, tej Japonji dzisiejszej, „zmodernizowanej" i zeuropeizowanej od jakich lat sześćdziesięciu.

Faktycznie też stanowisko kobiety japońskiej nie jest do pozazdroszczenia. Mimo zewnętrznego zeuropeizowania i postępu, tkwią jeszcze w społeczeństwie japońskiem przesądy i tradycje wiekowe, w myśl których kobieta stworzoną jest jedynie do słuchania, nie ma żadnych zgoła praw, lecz tylko i wyłącznie szereg ciężkich obowiązków, wypełniających całe jej życie.

Typowy, klasyczny przykład traktowania kobiety-matki przytacza jeden z pisarzy, który przebywał w Tokio, w pierwszorzędnym kosmopolitycznym hotelu. Przychodziła tam na obiad liczniejsza rodzina japońska, zupełnie zeuropeizowana. Na czele kroczył ojciec, z miną dumną, pewny siebie, za nim synowie, następnie córki, a cały pochód zamykała matka. Ubrana skromnie, szła drobnemi krokami, z głową nisko pochyloną, jakby zawstydzona i onieśmielona. Nie zabierała głosu przy wyborze menu, jak wogóle nie odzywała się przy stole, chyba, gdy jej małżonek raczył wprost do niej zwrócić się z jakiemś zapytaniem.

Kobieta japońska przechodzi od młodości odpowiednią „tresurę": Już w szkołach uczą ją, że przez całe życie musi pozostać poprostu — zerem, istotą bierną, obowiązaną do bezwzględnego posłuszeństwa. Jako młoda dziewczyna winna jest słuchać ojca, jako dojrzała kobieta męża i jego rodziców, jako wdowa, najstarszego swego syna, będącego głową domu.

Nie wolno jej posiadać własnego majątku, nie wolno dziedziczyć po ojcu czy mężu, nie wolno nawet wybrać sobie męża według własnego upodobania. I co najważniejsze: nie może kobieta utrzymywać kultu przodków, stanowiącego podstawę religji japońskiej.

* * *

Wszystko to dotyczy przedewszystkiem klas średnich i wyższych społeczeństwa, tkwiących nieodmiennie w wiekowej, uświęconej tradycji. Wśród klas niższych stosunki przedstawiają się nieco lepiej i korzystniej dla kobiet, które cieszą się większą swobodą i niezależnością. Z tych właśnie klas niższych rekrutują się stenotypistki, konduktorki tramwajowe, służba hotelowa i restauracyjna, fryzjerki, telefonistki i „manekiny". — Natomiast wśród inteligencji i sfer wyższych ruch emancypacyjny kobiet jest zaledwie w zawiązku. Władze i społeczeństwo patrzą na ruch ten okiem niechętnem, a nawet wrogiem, stawiając go niemal na równi z... komunizmem.

To też w życiu społecznem, politycznem, kulturalnem i religijnem kobieta japońska nie gra dotychczas żadnej prawie roli. Zamknięta w czterech ścianach swego domu, usuwana przez mężczyzn na ostatni plan, pędzi żywot smutny i szary, nie mając możności nawet wychowywania swych synów, którzy, po wyjściu z lat dziecięcych, przechodzą pod władzę ojca.

* * *

Podobne na oko stosunki panują i w Indjach. I tam kobieta uważaną jest za coś niższego od mężczyzny. Nie wolno jej wychodzić z domu inaczej, jak w towarzystwie kogoś starszego i poważniejszego z rodziny, nie wolno jej przyjmować w domu, ani nawet rozmawiać z nikim obcym. Kiedy mąż idzie swobodnie na spacer, do kawiarni czy klubu, ona musi siedzieć w domu i pracować.

Ale Hindusi widzą w kobiecie przedewszystkiem „matkę", ów żywy, wieczny symbol życia ludzkości, zasługujący na najwyższą cześć i szacunek. Dlatego np. uderzenie kobiety uważają za największy grzech, za który niema przebaczenia.

Więc, choć kobieta hinduska nie ma równych praw z mężczyzną, wpływ jej i znaczenie w życiu społecznem jest olbrzymie. Ona to jest właściwą głową i opiekunką ogniska domowego. Ona to wychowuje dzieci i wpaja w nie zasady moralne. Ona kształtuje dusze i charaktery przyszłych obywateli. A że potrafi godnie odpowiedzieć swemu zadaniu, na to mamy liczne przykłady. Wspomnimy choćby o Kasturbaj, żonie i najwierniejszej towarzyszce Mahatmy Gandhiego, która synów swych wychowała w duchu najwznioślejszego patrjotyzmu. A gdy synów jej władze angielskie uwięziły, w odpowiedzi na niezliczone wyrazy współczucia ogłosiła list otwarty, w którym pisze:

„Z moich synów dwóch tylko jest w więzieniu, natomiast siedzi tam tysiące synów naszej matki, Indyj. Nie mam prawa płakać, kiedy tyle młodych ludzi wydarto ich ukochanej matce"...

I choć kobieta w Indjach — na oko — wydaje się równie upośledzoną, jak w Japonji, to jednak w życiu społecznem i politycznem kraju odgrywa ona bardzo ważną, pierwszorzędną rolę. — Głośna poetka hinduska, Sarojimi Najdu, znaną jest daleko poza granicami swej ojczyzny. Kobiety zajmują w Indjach odpowiedzialne stanowiska lekarek, nauczycielek, urzędniczek, nawet sędziów... a jedna z nich była nawet przewodniczącą narodowego kongresu.

* * *

Warto zastanowić się, czemu przypisać należy te tak znaczne różnice w stanowisku społecznem kobiety w Japonji i w Indjach, przy zasadniczo podobnem ustosunkowaniu się społeczeństwa do praw i obowiązków kobiety.

Abstrahując od motywów religijnych i wyznaniowych, grających niewątpliwie dużą rolę (kult przodków w Japonji, zastrzeżony wyłącznie dla mężczyzn, a „matka" jako symbol wiecznego życia w Indjach), — trzeba tu wziąć pod uwagę przedewszystkiem życie polityczne i narodowe obu krajów.

Japonja — kraj ludzi mężnych, żądnych czynu, zdobyczy i podbojów. — Kraj, kroczący szybko i pewnie na drodze powiększenia swej potęgi, dzięki bitności swej armji, upojony licznemi, świetnemi zwycięstwami na przestrzeni wieków. Kraj wreszcie, posiadający od wieków samodzielność polityczną, wywalczoną mieczami swych synów. Cóż więc dziwnego, że kwitnie tam bujnie kult siły fizycznej, kult rycerstwa. Że i wychowanie młodzieży spoczywa na barkach mężczyzny, tego mężczyzny, który w każdej potrzebie staje ochotnie w obronie ojczyzny, który potrafi synom swym wszczepić te same zasady męstwa, odwagi i poświęcenia, które przyświecały i jemu w całem życiu?

Przy tym kulcie mężczyzny-bohatera, ofiarnego i odważnego bojownika, zabrakło poprostu miejsca dla kobiety, cichej, pokornej, wpatrzonej w oblicze swego pana i władcy.

Inaczej rzecz się przedstawia w Indjach. Przechodziły one ciężkie wstrząsy wewnętrzne, przechodziły krwawe walki i inwazje. I do dziś dnia naprózno wzdychają do niepodległości, do zrzucenia obcego jarzma... W tych warunkach rola kobiety nabiera szczególniejszego znaczenia, jak to bywało zawsze i wszędzie, nietylko na Dalekim Wschodzie, lecz i w Europie.

Kobieta-matka ma tutaj ciężkie a wdzięczne zadanie, staje się prawdziwą kapłanką ogniska domowego, podtrzymuje i podsyca wieczny płomień miłości ojczyzny, szlachetnego patrjotyzmu i ofiarności.

I skoro Indje wywalczą kiedyś wreszcie swą zupełną niepodległość, w historji walki tej kobieta hinduska posiadać będzie jedną z najpiękniejszych kart.

(kr.)

Rzeka z windą dla ryb

Od wieków uważano ryby za dar przyrody, który powinien służyć człowiekowi jako naturalny pokarm. To pojęcie, którego konsekwencją było łowienie ryb bez wszelkich ograniczeń, powstało głównie dlatego, iż przeważna część rzek i jezior w dawnych czasach była bardzo rybna. Nieliczne osiedla ludzkie, nad brzegami rzek położone, nie były w stanie wyczerpać obfitego zapasu ryb, to też nikt bliżej nie interesował się kwestją racjonalnej gospodarki rybnej. Dopiero wówczas, kiedy wzmagająca się gęstość zaludnienia i uprzemysłowienie poszczególnych okolic gwałtownie zaczęły zagrażać rozwojowi ryb zaczęto myśleć o „ochronie" tych zwierząt. Problem ochrony ryb stał się szczególnie ważny zwłaszcza tam, gdzie w celu wyzyskania energji wód płynących pobudowano na rzekach o doniosłem znaczeniu dla rybołóstwa, wodne centrale elektryczne.

Nieodłączną część takiej centrali stanowi zapora wodna, tama zamykająca bieg rzeki i spiętrzająca wodę, którą następnie używa się do napędu motorów. Rzecz zrozumiała, że takie całkowite zamknięcie biegu rzeki uniemożliwia wędrówkę ryb, a zwłaszcza nie pozwala na to, aby ryby, mające swe tarliska w górnym biegu danej rzeki, dostały się do swych naturalnych miejsc godowych. Jeżeli tamy zbudowane na rzekach nie są zbyt wysokie, można umożliwić wędrówkę ryb i przedostanie się ich przez zaporę w ten sposób, że obok takiej zapory buduje się t. zw. przepławki, które mogą być bardzo różnego typu. Wszystkie tego rodzaju urządzenia powinne być tak zbudowane, aby ryby wędrujące w górę rzeki, mogły się swobodnie przez nie przedostać. W wielu wypadkach udaje się to zupełnie dobrze, lecz bywają także i takie budowle wodne, przy których żadna przepławka, choćby najlepiej zbudowana, nie spełni swego zadania, a wówczas wyrybieniu rzeki może zaradzić jedynie sztuczne zarybienie zarówno górnego jak i dolnego biegu rzeki. Okazuje się jednak, że istnieją jeszcze w tym ostatnim wypadku inne urządzenia, które ułatwiają rybom przebywania zapory wodnej, a środkiem tym jest... winda.

Tego rodzaju nowoczesne urządzenie spotykamy na rzece Renie w pobliżu Bazylei, przy tamie elektrycznego zakładu w Kembs. Obok nowocześnie urządzonej a niezwykle kosztownej przepławki, zbudowano tam elektryczny wyciąg, który zaopatrzony w odpowiedni transporter, ułatwia rybom wędrówkę w górę rzeki.

Z chwilą wybudowania w Kembs tamy, podupadł zupełnie w Szwajcarji, zakrojony na wielką skalę i stanowiący poważne źródło dochodów państwowych, połów łososi. Pobudowano więc na Renie i jego dopływach, kosztem wielu miljonów marek, najrozmaitszych systemów przepławki, ale pożądanego rezultatu nie osiągnięto: z przepławek korzystają wszystkie ryby z wyjątkiem ...łososia. Postanowiono więc wybudować windę dla ryb. Zasada tego urządzenia polega na tem, że ryby w najniższej komorze przy tamie wpadają do drucianego kosza, który poruszany motorem elektrycznym, wyciąga ryby na wyższy poziom wody. Winda działa automatycznie dzień i noc a przejazd w górę trwa pół minuty. —

W miesiącu lipcu bieżącego roku przeprowadzono naukową kontrolę przepływu ryb przez przepławkę i zapomocą windy i okazało się, że z windy obok ryb drobnych, które korzystały dotychczas z przepławki, przepływają w górę rzeki i ...łososie wagi 20 funtów, przyczem bez porównania więcej ryb korzysta z nowoczesnej elektrycznej windy aniżeli z przepławki.

Koszt budowy wyciągu wynosił tylko 40.000 marek niemieckich, gdy budowa przepławki w Kembs wynosiła 240.000 marek niem. W przeliczeniu na jednakowe koszta budowy okazuje się, że wydajność windy jest 40 razy większa od wydajności przepławki.

Zamknięcie rzek jest nietylko szkodliwe dla ryb wędrujących w górę biegu, lecz także i dla ryb zdążających do ujścia rzeki. Ponieważ prąd wody wypływającej z zamkniętej części rzeki jest skierowany zazwyczaj do motorów wodnych, więc też może się zdarzyć że ryby dostają się do motoru i ulegają tam zniszczeniu.

Sprawę tę badali uczeni szwajcarscy i szwedzcy, w Polsce zaś tą sprawą zajmował się W. Kulmatycki. Otóż badania te wykazały, że w bardzo wielu motorach wodnych, które są poruszane prądem wody, przeciskającym się przez wąskie szczeliny, dużo ryb może ulec zagładzie. Są jednokowoż turbiny, przez które, nawet w czasie pełnego biegu motoru, ryby mogą się przedostać bez uszkodzeń.

Wynika stąd wniosek, że dla ochrony zarybienia rzek, a w szczególności ryb płynących w dół nurtu, winno się stosować turbiny od odpowiedniej konstrukcji.

Jest jeszcze inny sposób ochronienia ryb kierujących się w dół rzeki. Można n. p. skierować je tak, aby nie dostały się do kanałów, odprowadzających wodę do motorów, co uskutecznia się przez ustawienie odpowiedniej przegrody. W Ameryce zastosowano do tego celu oryginalny pomysł. W pobliżu miejsc, z których woda odpływa ku motorom, ustawiono po obu stronach kanału wodnego silne elektrody, połączone z prądem o dość wysokiem napięciu. Ryby, płynące przez miejsce, w poprzek którego przechodził silny prąd elektryczny, kierowały się zawsze, dzięki elektrotaksji, w kierunku bieguna ujemnego, który był znowu tak umieszczony, iż z tamtego miejsca ryby dostawały się do specjalnego przewodu, wyprowadzającego je, bezpiecznie poza obręb tamy wodnej, w dół rzeki. —

Z powyższych przykładów widzimy, że zarybienie rzek i utrzymanie tej gałęzi gospodarstwa na odpowiednim poziomie wymaga dzisiaj niezwykle skomplikowanych i kosztownych urządzeń.

Akademja francuska a puding

Na jednem z posiedzeń, jakie Akademja francuska poświęca rewizji słownika, wyłoniła się kwestja, jak ma się pisać nazwa zapożyczanej od Anglików potrawy, którą dotychczas leksykografowie francuscy podawali w najrozmaitszych formach — jako **poudinge, puding** i **pouding**. Po dłuższej dyskusji przyjęto autentyczną angielską pisownię — **pudding**.

—o—

Zabytki rzymskiej kultury
w Afryce północnej

Zwykła to jest kolej rzeczy, że tzw. „kolonje" wyzyskiwane były zawsze przez ich zdobywców czy protektorów. Nieinaczej też przedstawiała się sprawa w prowincjach starożytnego imperjum rzymskiego, położonego w Afryce północnej, a otaczających wieńcem basen Morza Śródziemnego: Mauretania Tingitana (nazwana tak od swej ówczesnej stolicy, Tingis), Mauretania caesarca (ze stolicą Iola Caesarea), Numidia, Cyrenaica, Marmarica i Egipt.

W szkicu niniejszym pomijamy Egipt ze względu na jego odrębne położenie i warunki etnograficzne, — natomiast zajmiemy się obszerniej Mauretanją.

Obie Mauretanje starożytne zajmowały obszar północnej części dzisiejszego Algieru i Tunisu, — tworząc pewnego rodzaju zamkniętą wyspę, otoczoną od północy i zachodu Morzem Śródziemnem i Atlantykiem, od południa zaś nieurodzajnym pustynnym terenem dzielącym je od szczepów i ludów zamieszkujących głąb Afryki.

Po definitywnem pokonaniu Kartaginy obszary te przeszły pod władzę Rzymu, — a zdobywcy poczęli eksploatować je bezwzględnie i niemiłosiernie.

Nakładano tedy na mieszkańców wysokie a uciążliwe podatki, przedewszystkiem ściągane w naturze, tj. w zbożu. Dawało to olbrzymie pole do nadużyć: ówcześni poborcy, spekulanci, lichwiarze i paskarze wzbogacali się szybko w tych „barbarzyńskich" krajach, o ile potrafili zapewnić sobie bezkarność i silne plecy u władz centralnych.

Ludność Mauretanji, przeważnie rolnicza, uginała się pod ciężarem nakładanych na nią świadczeń; o bezpieczeństwo życia i mienia nie miał kto dbać, gdyż załogi wojskowe były nieliczne i nie miały dostatecznej siły, by ochronić spokojną ludność przed rabunkami i napadami dzikich hord z głębi Afryki.

Niewiele też mógł zdziałać król Numidji, de nomine niezawisły władca, faktycznie zaś wasal Rzymu, który powierzył temu władcy zabezpieczenie granic Mauretanji od napadów.

* * *

Opłakane te stosunki uległy zasadniczej zmianie dopiero za rządów Juljusza Cezara. Okres jego rządów, to początek cywilizacji i kultury, a równocześnie latynizacji Afryki północnej.

Juljusz Cezar, w swej przewidującej, mądrej polityce kolonjalnej, przystąpił przedewszystkiem do zapewnienia zupełnego bezpieczeństwa mieszkańcom kolonij.

Zakłada wysunięte daleko na południe potężne strażnice wojskowe, w których wypróbowani w bojach legjoniści pełnią stale czujną straż. Jedną z takich strażnic było Lambaesis (dzisiejsze Lambese). Podjęte przed paru laty przez rząd francuski prace wykopaliskowe odkryły olbrzymią budowlę tzw. „praetorium". Była to potężna strażnica kresowa, otoczona całym szeregiem mniejszych zabudowań, w których mieściły się koszary żołnierzy, magazyny, łaźnie i świątynie.

Była ona równocześnie siedzibą specjalnego legata cesarskiego, którego władza i zakres działalności odpowiadał mniejwięcej władzy dzisiejszego gubernatora wojskowego w kolonjach.

* * *

Równocześnie jednak dbał Juljusz Cezar (a za nim i inni cezarowie rzymscy) o podniesienie dobrobytu i stopnia kultury tych prowincyj. Wydał cały szereg ustaw chroniących ludność tubylczą przed nadużyciami urzędników, przed wymuszeniami i lichwą. Zorganizował służbę kontrolną, ścigającą i karzącą surowo każdy wypadek zdzierstwa, wymuszenia lub przekupstwa.

Cały kraj pokrył się gęstą stosunkowo siecią dobrych, bitych dróg, łączących większe miasta i osiedla ze sobą oraz z nadbrzeżnemi portami.

W miastach zaś powstawały wspaniałe świątynie, amfiteatry, termy, ozdobione w arcydzieła sztuki malarskiej.

Dzięki wykopaliskom znaczna część tych wspaniałych zabytków ujrzała znowu światło dzienne, dając po wiekach świadectwo minionej sławie i kulturze cesarstwa rzymskiego.

* * *

Na czoło wszystkich tych miejscowości, gdzie zabytki z epoki cesarstwa rzymskiego zachowały się najlepiej i w największej ilości, wybija się Dżemila, leżąca na drodze z Setif do Konstantyny.

Dżemila (starożytne Cuicul) zasługuje w pełni na miano „afrykańskiego Pompei". Przeprowadzone tam z ramienia rządu francuskiego wykopaliska odkryły całe miasto, ze sklepionemi po części uliczkami, z łukiem triumfalnym Caracalli, ze starem i nowem forum, nad którem dominuje wspaniała, majestatyczna świątynia Septimusa Sewera. Widzimy tam długie szeregi marmurowych kolumn, widzimy na forum długie kamienne ławy, na których przekupnie rozkładali swe towary; widzimy nawet naczynia kamienne, które służyły do mierzenia pojemności płynów. Nie brak ani marmurowej fontanny, służącej od użytku publicznego, ani obszernego amfiteatru, ani osobnej dzielnicy, zabudowanej zgrabnemi, zbytkownemi willami bogaczy.

Wykopaliska w Dżemili pozwoliły światu uczonych zapoznać się z najcenniejszemi zabytkami starożytnej kultury łacińskiej na ziemi afrykańskiej, — toteż przedstawiają one nieocenioną wartość, godne stanąć w jednym rzędzie z wykopaliskami w Pompei.

* * *

Z innych miejscowości, budzących żywe zainteresowanie w świecie archeologów, wspomnieć jeszcze należy: Timgad, odkopane niemal w całości, a słynne ze swego kapitolu i łuku triumfalnego (prawdopodobnie Trajana), — dalej Dougga (w Tunisie) z prześlicznym kapitolem z czasów Marka Aureljusza, i wreszcie El Djem, gdzie odkryto Colosseum, masywny, 3-piętrowy budynek z granitu, nie ustępujący w niczem Colosseum rzymskiemu. Dochowały się nawet klatki, w których trzymano dzikie zwierzęta, oraz ponure kamienne więzienia, skąd wypuszczano na arenę skazańców i gladjatorów.

* * *

Zabytki te świadczą, że Rzym Cezarów również i w kolonjach przestrzegał popularnej maksymy „panem et circenses", — że jednak równocześnie dbał naprawdę o podniesienie kultury i dobrobytu w tych krajach.

Świadczą zarazem o genjuszu rasy łacińskiej, która w sztuce swej wycisnęła niezatarte piętno nawet na późniejszych władcach tej ziemi: Muzułmanach i Hiszpanach.

(kr.).

Tajny radca Fritz von Holstein

Do angielskiego przekładu książki Joachima von Kürenberg „Jego ekscellencja widmo. Życie Fryca von Holstein" napisał przedmowę najznakomitszy dziennikarz brytyjski gruntowny znawca polityki europejskiej ostatnich lat kilkudziesięciu Wickham Steed. Stwierdza on, że nieprawdopodobne nieraz i oburzające fakta, podane przez Kurenberga na temat stosunków w niemieckich ministerjach pod koniec XIX. i z pocz. XX. w. są prawdziwe. Dzieło rzuca światło na szereg wypadków historycznych, ale są to raczej ciekawe przyczynki. Raczej więc warto zwrócić uwagę na postać samego Holsteina.

Urodzony w r. 1837, piastował on cały szereg ważnych stanowisk. Rozpoczął karjerę jako sekretarz ambasady niemieckiej w Paryżu, był potem osobistym sekretarzem Bismarcka i pierwszym radcą oraz podsekretarzem berlińskiego ministerjum spraw zewnętrznych. Przez lat czterdzieści trząsł niemiecką polityką zagraniczną, będąc niezbędnym doradcą i pomocnikiem kolejno czterech kanclerzy, Bismarcka, Capriviego, Hohenlohego i Bülowa.

Holstein stanowi typ biurokraty, którego namiętnością jest rządzić z ukrycia. Na widomych znakach wpływu mu nie zależało, owszem unikał ich jak najstaranniej. Ilekroć zapraszano go na przyjęcia, czy to na dworze cesarskim, czy do któregoś z dostojników, odmawiał przybycia, motywując to stereotypowo „brakiem wieczornego stroju". Wilhelm II. chciał raz przełamać dziwactwo tajnego radcy, więc zaprosił się na śniadanie do kanclerza i wyraźnie objawił życzenie, aby Holstein był obecny, lecz ten wymówił się, podając wyjątkowo jako przyczynę niedyspozycję. Cesarzowi, gdy już siedział przy stole, przyszło na myśl stwierdzić, czy Holsteina niema przypadkiem w biurze — i ktoś umyślnie wysłany zastał go zatopionego w aktach. Gdy w r. 1887 Wilhelm I. w dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin obdarzył Holsteina wysokiem odznaczeniem, ten wyraził się: „Jest prawie tak samo śmiesznie mieć ten krzyżyk, jak go nie mieć."

Względem kolegów tajny radca był bezwzględnym, nieraz piekielnie przewrotnym. Miał własną kartotekę w której gromadził obszernie wszelkie ich błędy, grzeszki i skandale, aby w sposobnej chwili utrącić kogoś, kto mu stał się niewygodny. Z nikim nie żył bliżej, a w rozmowie zrażał ludzi wstrętnym cynizmem.

Zato sprawy państwowe znał na wylot i zadziwiał szczegółowością tej wiedzy. W każdym wypadku umiał wystąpić z radą, a na wiadomość o wypadku w świecie odrazu przepowiadał, jakie będą następstwa i mylił się rzadko. Pracował ciężko, odznaczał się wyborną pamięcią i nigdy nie przebierał w środkach.

Von Kürenberg ujął życiorys tej typowo pruskiej postaci w 70 żywo skreślonych scen, w których poznajemy nie tylko Holsteina, ale cały szereg osobistości, które za jego czasów stały u steru polityki pruskiej. Światło, jakie książka ta rzuca na całe towarzystwo, jest nieraz okropne.

A. E.

Z historji sztuki drzeworytniczej

Początki sztuki drzeworytniczej w Europie sięgają XIV. wieku, jakkolwiek sama zasada tej sztuki i jej technika znaną była już od wieków na Wschodzie.

Technika to stosunkowo bardzo prosta: na drewnianej desce wycina się wypukło rysunek według przedłożonego wzoru. Po powleczeniu rysunku farbą przykłada się nań arkusz zwilżonego papieru, a przez proste przyciśnięcie lub pocieranie uzyskuje się na tym papierze odbitkę, — w taki sam sposób, jak uzyskuje się t. zw. „szczotkową odbitkę" w drukarni ze złożonej szpalty druku.

Na tym punkcie zatem sztuka drzeworytnicza góruje nad innemi rodzajami grafiki (miedzioryt, staloryt), gdzie rysunek ryty jest na płycie nie wypukło, lecz wklęsło.

Sztuka drzeworytnicza stanowiła w wieku XV. i następnych dział zupełnie autonomiczny i zamknięty w sobie, jednocząc w sobie specjalnych mistrzów, rysowników, rytowników i drukarzy. Z reguły bowiem artysta dawał tylko sam rysunek, a sporządzenie na drzewie odpowiedniej formy należało nie do artysty-rysownika, lecz do specjalisty-rytownika, którego praca była trudną i odpowiedzialną.

Wyjątkowo tylko tacy mistrze jak np. Albrecht Dürer sami osobiście rysunki swoje przenosili z pomocą noża, dłuta i rylca na drewniane płyty.

Przez długie wieki do sporządzania drzeworytów używano drzewa miękiego (grusza), rżniętego podłużnie, t. j. równolegle do linji włókien. Dopiero w r. 1790 rytownik angielski Tomasz Bewick począł używać do tego celu drzewa twardego, rżniętego poprzecznie, — tworząc podstawy nowoczesnej sztuki drzeworytniczej.

Duże ewolucje przechodziła też i sama technika drzeworytnictwa: Od początkowych prostych pojedyńczych kresek do kombinacji kresek i punkcików (drzeworyt groszkowany), do subtelnego cieniowania i drzeworytu t. zw. „japońskiego", którego technika pozwala na wydobycie prawdziwie artystycznych efektów i najdelikatniejszych niuansów.

Tematy do kompozycyj czerpali artyści początkowo głównie z dziejów Starego i Nowego Zakonu. Prym dzierży tu Albrecht Dürer ze swoją „Apokalipsą" i „Pasją Chrystusową". Niemal równocześnie z nim pracują Łukasz Cranach, Hans Holbein i Łukasz von Leyden. Wymienić również należy Jana Lievensa, rówieśnika Rembrandta, którego wybitny wpływ widoczny jest we wszystkich dziełach tego holenderskiego artysty, — oraz Włocha Domenico Campagnola, pozostającego pod wpływem Tiziana.

Drzeworytnictwo staje się jednak wkrótce rodzajem przemysłu: dzięki prostej i łatwej technice reprodukcji dzieła powiela się wielokrotnie, — co bezwątpienia posiadało duże znaczenie społeczne, umożliwiając rozpowszechnianie tych reprodukcyj na szerszą skalę. Stopniowo jednak sztuka drzeworytnicza upada, ustępując miejsca innym, nowym, doskonalszym metodom sztuki graficznej.

Epigonem tej sztuki był w pierwszej połowie XIX. w. francuski artysta Honoré Doumier, który w setkach swych rysunków i karykatur dał świetny obraz życia współczesnej burżuazji francuskiej.

Dopiero z początkiem bieżącego wieku nastąpił świetny renesans sztuki drzeworytniczej, przedewszystkiem w Sowietach, Francji, Włoszech i w Polsce, gdzie inicjatorem tego odrodzenia był Władysław Skoczylas, osiągając w swojej „Tece zbójnickiej" pełnię ekspresji artystycznej.

(kr.)

Fizyka temperatur „helu"

Jak wiadomo najniższą dotychczas osiągniętą temperaturą jest temperatura wrzenia w próżni ciekłego helu, która jest oddalona mniej niż o jeden stopień C. od bezwzględnego zera temperatur, wynosi bowiem —272.2° czyli 0.9° w skali temperatury bezwzględnej. Historja osiągnięcia tak niskiej temperatury, jest równocześnie historją skraplania gazów, t. zn. tych ciał, które w zwykłych warunkach temperatury i ciśnienia są w stanie gazowym. W chwili obecnej wszystkie gazy, nie wyłączając t. zw. gazów trwałych, do których zaliczano wodór, azot, tlen, gaz błotny (metan), tlenek azotu, tlenek węgla i t. d., możemy skroplić i zestalić.

Skroplenie gazów „trwałych" stało się możliwem dopiero wtedy, gdy zrozumiano konieczność doprowadzenia gazu, mającego ulec skropleniu, do temperatury krytycznej. Każde ciało ma swoją określoną charakterystyczną temperaturę, powyżej której może istnieć tylko w stanie gazowym, t. j. nie przechodzi w ciecz przy największem nawet ciśnieniu; temperatura ta nosi nazwę temperatury krytycznej. A zatem gaz może być skroplony tylko wtedy, gdy jego temperatura jest niższa od krytycznej. Gazy zwane trwałemi wydawały się takiemi jedynie z tego powodu, że usiłowano je skroplić bez uprzedniego należytego ochłodzenia.

W ostatniem ćwierćwieczu XIX. stulecia, wszystkie gazy prócz helu zostały skroplone, skroplenia zaś helu dokonał w dniu 10 lipca 1908 r. H. Kamerlingh-Onnes. Wszystkie skroplone gazy udało się następnie zestalić. Zestalenie helu osiągnięto w r. 1926.

Uczony holenderski H. Kamerlingh-Onnes zorganizował w Leydzie laboratorjum niskich temperatur (kryogeniczne), w którem zarówno jego założyciel jak i uczniowie założyciela wykonali ogromną liczbę niezwykle ciekawych badań i stworzyli nową fizykę temperatur „helu", t. j. przypadających poniżej 5° bezwzględnego. Do głównych zagadnień tej dziedziny fizyki, nad któremi prowadzono badania w Leydzie, należą: zbadanie zależności objętości różnych gazów od ciśnienia i temperatury, własności magnetyczne ciał i przewodnictwo elektryczne. Są to trzy główne zagadnienia fizyki niskich temperatur. Obok nich należy wymienić następujące: zjawiska termoelektryczne, fosforescencja, tarcie wewnętrzne gazów skroplonych i nieskroplonych, ciepło właściwe, przewodnictwo cieplne, zjawiska promieniotwórcze, podwójne załamanie magnetyczne światła, rozproszenie promieni röntgenowskich i t. d. Najbardziej zadziwiającem zjawiskiem fizyki niskich temperatur jest zjawisko nadprzewodnictwa elektrycznego metali i zagadnieniu temu poświęcimy tutaj więcej miejsca.

Przewodnictwo *) elektryczne metali rośnie wraz z obniżeniem temperatury. W latach 1892 i 1893 zbadano to zjawisko do —222 st. C. Kamerlingh-Onnes dokonawszy skroplenia helu, rozpoczął badanie przewodnictwa elektrycznego w temperaturach, poniżej 5 st. bezwzgl. Pierwsze pomiary z 1911 r. były wykonane z drucikiem czystej platyny o grubości 0.1 mm. W czasie tych badań okazało się, że opór platyny zmniejsza się nieznacznie przy przejściu od 14.2 st. bezwzgl. do 4.3 st. bezwzgl., przy dalszem zaś obniżaniu temperatury pozostaje niezmienionym. Ten wynik badań pozostawał w sprzeczności z przewidywaniami, według których opór elektryczny zupełnie czystego metalu musi przy zbliżaniu się do 0 st. bewzgl. dążyć do zera, czyli przewodnictwo elektryczne rosnąć musi do maximum. Kamerlingh-Onnes doszedł do przekonania, że pewna reszta oporu dla najniższych temperatur spowodowana jest obecnością obcych domieszek w metalu, wobec czego rozpoczął swoje badania z rtęcią, którą łatwo uzyskać w stanie czystym. W rezultacie tych badań doszedł do stwierdzenia następujących dwu faktów:

1. Opór czystej rtęci staje się dla temperatur „helu" poniżej 5 st. bezwzgl.) niezmiernie małym. Dla tego stanu metalu holenderski uczony wprowadził nazwę „nadprzewodnictwo", ciała zaś wykazujące to zjawisko nazwał „nadprzewodnikami".

2. Nadprzewodnictwo rtęci zostaje osiągnięte przy 4.2 st. bezwzgl. nagłym skokiem od łatwo mierzonej wielkości oporu do niezmiernie małej.

W 1913 r. Kamerlingh-Onnes doniósł o trzeciem zadziwiającem odkryciu: jeżeli powiększać stopniowo natężenie prądu, który przechodzi przez nadprzewodnik, to okazuje się, że dla każdego drucika przy wszelkiej temperaturze istnieje określone graniczne natężenie prądu, powyżej którego następuje nagłe ogrzanie drucika i ciało przestaje być nadprzewodnikiem. Poniżej tej granicy nie mamy żadnego ogrzania, ponieważ opór drucika jest równy zeru lub prawie zeru, a różnica potencjałów na końcach drucika rtęciowego jest niezmiernie mała. W pewnych wypadkach można było przepuścić prąd o natężeniu 1200 amperów, gdyby go brać na 1 mm kwadratowy przekroju, drucik jednak nie ulegał przytem ogrzaniu. Drucik miał przekrój 0.0005 mm. kwadratowych, faktycznie więc prąd wynosił 6 amperów! Tak więc i tutaj mamy do czynienia z jakimś skokiem. Powyżej temperatury skoku prawo Ohma jest ściśle zachowane.

Jeżeli rozpuścić w rtęci złoto lub kadm, to jej zdolność okazywania nadprzewodnictwa nie zanika. W 1923 r. Kamerlingh-Onnes odkrył, że cyna i ołów mogą również stać się naprzewodnikami. Temperatura skoku przypada dla cyny niżej, niż dla rtęci, a mianowicie leży przy 3.5° bezwzgl. Ołów okazał się nadprzewodnikiem dla wszystkich temperatur „helowych". Oznacza to, że temperatura jego skoku znajduje się powyżej temperatury, krytycznej helu (5° bezwzgl.). Żelazo i miedź nie stają się nadprzewodnikami, lecz ich opór przybiera wartość stałą, tj. niezależną od temperatury. Z dalszych, później badanych ciał okazały się nadprzewodnikami tal, ind i rad G. W 1921 r. Kammerlingh-Onnes stwierdził, że wszystkie zbadane stopy cyny i ołowiu stają się nadprzewodnikami mniej więcej przy tej samej temperaturze, co i czysty ołów.

Największą jednak sensację ze wszystkich odkryć Kammerlingh-Onnes'a, o wiele większą, aniżeli odkrycie nadprzewodnictwa, wywołało doświadczenie wykonane przez tego uczonego w r. 1914. Doświadczenie to nie wniosło w istocie nic nowego do zasadniczego faktu nadprzewodnictwa, a jedynie uwypukliło w sposób szczególnie obrazowy istnienie tego zjawiska. Sensacyjność odkrycia polegała na tem, że przeczyło ono naszym zwykłym wyobrażeniom o warunkach, w których może płynąć przez przewodnik prąd elektryczny. Jak wiadomo, prąd może płynąć w obwodzie tylko wtedy, gdy istnieje siła elektrobodźcza, która podtrzymuje istnienie prądu — np. gdy w obwodzie znajduje się baterja ogniw elektrycznych. Gdy ogniwo elektryczne z obwodu wyłączymy, to natężenie prądu zwykle bardzo szybko maleje do zera, tak, że czas jego zanikania mierzy się bardzo małemi ułamkami sekundy. Czas, w którym natężenie prądu maleje do 0.36788 swej pierwotnej wartości, nosi nazwę czasu relaksacji.

Kamerligh-Onnes zanurzył drucik ołowiany do ciekłego helu. Końce drutu były ze sobą spojone, tak, że tworzył on obwód zamknięty. Obliczono, że czas relaksacji tego drucika w temperaturze pokojowej wynosi 1 70000 sekundy. Po upływie 1 10.000 sek. po zniknięciu działania siły elektrobodźczej można uważać prąd praktycznie za równy zeru. Czas relaksacji jest odwrotnie proporcjonalny do oporu drucika. Przy 1.8 st. bezwzgl. drucik ma opór, który według przybliżonego rachunku jest conajmniej 20.000 miljonów razy mniejszy od oporu w temperaturze pokojowej. Stąd wynika, że czas relaksacji tego ołowianego drucika w 1.80 st. bezwzgl. musi wynosić conajmniej 24 godz.! Jeżeli w takim druciku wywołać prąd elektryczny, a następnie usunąć działanie siły elektrobodźczej, to prąd będzie płynął w obwodzie, choć niema już w nim siły pobudzającej. Spadek natężenia tego prądu musi odbywać się bardzo powoli, w ciągu kilku dni. Prąd, który płynie nieprzerwanie w obwodzie zamkniętym, gdzie niema podtrzymującej go siły elektrobodźczej, zgoła nie odpowiada naszym wyobrażeniom o prądzie. Tymczasem niema w tem zjawisku niczego istotnie nowego, gdyż jest ono konsekwencją nadprzewodnictwa, t. j. prawie zupełnego zaniku oporu elektrycznego drucika."

Doświadczenia Kamerlingh-Onnesa nad relaksacją w temperaturze helu dowiodły, że natężenie prądu zmniejsza się się w ciągu jednej godziny mniej niż o 1 proc.: stąd wynikało, że czas relaksacji przy doświadczeniach Kamerlingha przekraczał 4 doby, gdy tymczasem w zwykłej temperaturze wynosił 1/70.000 sek."

Poza wyżej wymienionemi metalami badano jeszcze nadprzewodnictwo 14 metali, a między niemi cynku, złota, miedzi, żelaza, srebra, platyny, potasu i sodu, jednakże wszystkie nie stają się nadprzewodnikami w temperaturach helowych.

W. I. de Gaz opublikował w 1929 r. interesujące badania stopów w temperaturach helowych. Okazało się, że stopy cyny z antymonem i talu z bizmutem są nadprzewodnikami; stop cyny ze srebrem nie jest nadprzewodnikiem. Szczególnie ważne jest odkrycie, że stop złota i bizmutu (18 proc. złota) staje się nadprzewodnikiem przy 2.2° bezwzgl., natomiast same te metale nie stają się nadprzewodnikami.

Jak widzimy, Kamerlingh-Onnes, dokonując skroplenia helu, odkrył dzięki temu przed nami świat nowych, niezwykłych i nieoczekiwanych zjawisk, które są dziś przedmiotem badań kilku specjalnych laboratorjów.

*) Stosunek spadku napięcia prądu przepływającego przez dany przewodnik do natężenia prądu, nazywamy elektrycznym oporem przewodnika. Jeżeli spadek napięcia oznaczymy przez **w**, natężenie prądu przez **i**, a opór przez **r**, to otrzymamy następującą równość $r = w/i$. Wzór ten wyraża nam zasadnicze prawo elektrycznego przewodnictwa i nosi nazwę **prawa Ohma.** Opór elektryczny jest charakterystyczną własnością danego przewodnika i zależy od jego postaci i oczywiście od jego chemicznego składu, od temperatury i innych warunków, w których znajduje się badany przewodnik. — Jeżeli przez **l** oznaczymy długość przewodnika, przez **s** rozległość jego przekroju poprzecznego to wówczas opór danego przewodnika wyrazi się wzorem **r = R l s.** Wielkość **R,** współczynnik proporcjonalności w powyższem równaniu, jest niezależny od wielkości **l** i od **s**, natomiast zależy od chemicznego składu, a także od fizycznego stanu przew. **przedewszystkiem od temperatury;** stałą **R** nazywamy oporem właściwym substancji, z której przewodnik jest sporządzony. Odwrotność oporu właściwego **1 R = c** nazywamy przewodnictwem właściwem substancji. Jednostką oporu jest Ohm, jednostką oporów właściwych jest Ohm×cm. jednostką przewodnika jest 1/Ohm. cm.

Ze świata książki

O. Paweł Manna, misjonarz apostolski: **„Za mało Żniwiarzy".** Z oryginału włoskiego przełożył X. S. P. M. Z przedmową J. E. Ks. Dra A. Nowowiejskiego. (Warszawa 1932. Wyd. Księży Pallotynów. Str. 267).

Książka „Za mało Żniwiarzy" napisana stylem żywym i barwnym, w świetnym przekładzie X. S. M. P., zawiera wszystko co powinien wiedzieć o misjach każdy katolik, o ich stanie dzisiejszym, o zdobyczach krzyża na dalekich lądach, o olbrzymim polu pracy i dotkliwym braku misjonarzy.

Dzieło „Za mało Żniwiarzy", dzięki różnorodności i obfitości materjału w niej zebranego, staje się nieodzowne dla każdego duszpasterza, pracującego na parafji lub wśród młodzieży, ułatwi bowiem głoszenie kazań w niedziele misyjną i różnych przemówień okolicznościowych.

W ręku zaś ludzi świeckich, zbyt często w naszym kraju obojętnych dla sprawy rozkrzewiania Wiary, — książka ta przyczyni się do usunięcia uprzedzeń, przemówi do serc i umysłów, zachęci wielu do wzięcia udziału w ten lub inny sposób w wielkiej pracy misyjnej.

Z wydawnictw w 250-lecie Odsieczy Wiedeńskiej

W związku z jubileuszowym rokiem Odsieczy Wiedeńskiej pojawił się cały szereg prac okolicznościowych, monografji i opisów, dotyczących czyto osoby króla Jana III i jego rodziny, czy miejscowości z nim ściślej związanych, czy wreszcie samej odsieczy wiedeńskiej.

W Warszawie wyszło duże dzieło p. t.

Król Jan Sobieski i odsiecz Wiednia (Skład główny Główna Księgarnia Wojskowa, str. 301, cena zł. 4.50), będące, jak wnioskować należy, zbiorową pracą kilku pisarzy, a równocześnie — prawdopodobnie prywatną imprezą wydawniczą p. Alicji Belcikowskiej, z pod pióra której wyszła jednak tylko drobna, oryginalna rozprawka wstępna o Janie Sobieskim, jego życiu i czynach. Rozprawka, utrzymana w tonie popularnym, kronikarskim, bez głębszego ujęcia i krytycznego ustosunkowania się do tematu. Należałoby jednak zwrócić uwagę na tak jaskrawe błędy, świadczące o zupełnej nieznajomości łaciny, jak „dulce et decorum est pro patria **moris**", lub „sic **filium** decuit". A wyrażenie: Sto tysięcy Tatarów **oblężyło** obóz polski" świadczy wymownie, że i z językiem polskim także coś nie w porządku...

Bardziej ciekawe i wartościowe są zamieszczone w tem wydawnictwie odpisy dokumentów, bogaty zbiór pieśni i poematów o Janie III, wreszcie bibljografja wydawnictw o Sobieskim i wykaz (choć bardzo niekompletny) obrazów, rzeźb i pomników w kraju i na obczyźnie.

Dzieło uzupełnia 43 ciekawych i dobrze wykonanych ilustracyj.

Lwowski obywat. Komitet Obchodu wydał niewielką broszurkę **dr. Władysława Filara p. t. „Jan III Zbawca Wiednia".** Na trafnie i interesująco podmalowanem tle historycznem rzucił tu autor obraz całej wyprawy wiedeńskiej. A więc nastroje w oblężonym Wiedniu, siły liczebne armji tureckiej, siły wojsk sprzymierzonych i ich wartość bojową, a wreszcie przebieg bitwy, uwieńczonej świetnem zwycięstwem, by wreszcie w końcowym rozdziale omówić następstwa i znaczenie tego wiekopomnego zwycięstwa.

Rzecz cała, napisana barwnie, oparta na sumiennem przestudjowaniu całego dotyczącego materjału, stanowi miłą pamiątkę wrześniowych uroczystości.

Broszurka wydana bardzo starannie. Że praca ta o Janie III, zbawcy Wiednia i obrońcy Chrześcijaństwa wydrukowaną została właśnie w drukarni Artura Goldmana, a więc we firmie żydowskiej, to już pozostanie zasługą Obywatelskiego Komitetu, który wykonanie wszelkich druków związanych z obchodem, aż do nalepek włącznie, powierzył właśnie tej drukarni. **(kr.)**

Rosja pod panowaniem mongolskiem

Jest rzeczą powszechnie znaną, że od czasów Piotra Wielkiego i jego wielkiej reformy, która pchnęła naród rosyjski i jego historję na nowe, na zachodnio-europejskie tory — Rosja zarówno w dziedzinie życia politycznego, jak i w sferze kultury duchowej z niezwykłą energją i podziwu godną ambicją dążyła do tego, by w opinji obcych społeczeństw, obcych kultur uzyskać uznanie dla swej stuprocentowej europejskości, — uznanie przynależności do wielkiej, triumfującej w dziejach ludzkości cywilizacji **zachodnio-europejskiej.** Dlatego też najboleśniejsze dla rosyjskiej dumy narodowej były zarzuty barbarzyństwa, zacofania, „azjatyckości", „tatarszczyzny" etc. etc., któremi nieraz posługiwano się na Zachodzie przy ocenie zjawisk kulturalnych, psychicznych i społeczno-politycznych, pochodzących z Rosji, przyczem podkreślanie azjatyckości częstokroć traciło charakter zarzutu, czy obraźliwej intencji; stawało się tylko stwierdzeniem niewątpliwego faktu, mającego źródło w przeszłości i genezie narodu rosyjskiego i jego kultury. Mówiąc bowiem o „azjatyckości" Rosji (argument, w naszych czasach używany najczęściej i najchętniej przez „ukraińców" i ukrainofilów, którzy w ten sposób chcą podkreślić przynależność Ukrainy do cywilizacji zachodniej, odcinając się od wszelkiej wspólnoty z dziejami i kulturą Rosji) — ma się zwykle na myśli z jednej strony wielką domieszkę krwi ugro-fińskiej, jaką posiada szczep wielkoruski; z drugiej — dziedzictwo tradycji „staroruskiej" (na którą składają się elementy wschodnio-słowiańskie, normandzkie i cerkiewno-bizantyńskie), na której niewątpliwie w stopniu bardzo wybitnym (w mniejszym jednak, niż to wyobrażają lub udają, że wyobrażają sobie — przysięgli rusofobi) zaciążyły **wpływy państwowej, materjalnej i duchowej kultury i psychiki mongolskiej,** datujące się z czasów dwa i pół wieku trwającego panowania Tatarów nad Rosją, ściśle mówiąc nad historyczną Rusią Rurykowiczów, której zarówno w dziedzinie kultury, jak i życia historyczno-politycznego — spadkobiercą i ciągiem dalszym było państwo moskiewskie: Rosja. Rzecz ciekawa, że nawet wśród samych Rosjan, do czasów rewolucji tak bardzo przeczulonych na punkcie swojej **europejskości,** a w każdym razie na punkcie **słowiańskości** — zjawiają się prądy polityczne i kulturalne, potępiające reformę Piotra Wielkiego, nietylko uznające, ale podkreślające wielką wagę elementów azjatyckich, **mongolskich** w kulturze i psychice rosyjskiej, a stąd wyciągające wniosek **konieczności powrotu Rosji i jej roli dziejowej na wschód, do Azji,** w tej części świata, a nie w Europie widząc teren dla ekspansji politycznej i kulturalnej narodu rosyjskiego. Kierunek polityczny i kulturalny, który głosi tego rodzaju teorje i hasła, powstał na emigracji i nosi nazwę eurazyjskiego **(Eurazjanizm).** Za motyw przewodni w symfonji dziejów narodu rosyjskiego uważają Eurazjanie walkę **lasu** (kultury i psychiki wschodnio-słowiańskiej) ze **stepem** (cywilizacja mongolska) i stwierdzają nietylko ilościową przewagę elementów stepowych, ale częstokroć ich **jakościową wyższość!..** Nie wchodząc w rozważania nad samą teorją eurazyjską i nad stopniem jej słuszności i prawdopodobieństwa, zastanówmy się pokrótce nad samym niezwykle interesującym przebiegiem owych walk lasu ze stepem — nad historją Rosji w epoce niewoli tatarskiej i nad dziejami walk rosyjsko (ściśle mówiąc: „russko")-mongolskich.

Nowsi historycy zwracają uwagę na fakt, że wszystkie wyprawy Tatarów, a więc i te, których celem był zachód Europa — przygotowane były z góry i szczegółowo obmyślane przy pomocy wspaniale zorganizowanej akcji szpiegowskiej. Tyczy się to niewątpliwie wielkiej wyprawy z lat 1237—41, która zalała całą prawie Ruś, Polskę, Węgry i Morawy, aż się oparła o Ołomuniec. Natomiast jeżeli chodzi — o pierwsze zetknięcie się Mongołów z ludami europejsko-chrześcijańskiemi (nad rzeką Kałką w roku 1223) rosyjscy badacze uważają ją za przypadkowe i przez wojenny plan armji Czingis chana nie przewidziane. Awangarda na zachód płynącej fali tatarskiej uderzyła na stepowe plemię **Połowców,** naogół znajdujące się z rozdrobionemi księstwami „russkiemi" w stanie wojny w tym jednak czasie związane z niemi węzłami przyjaźni, a nawet związkami rodzinnemi. Parci przez Tatarów, przywołali Połowcy książąt ruskich na pomoc: pod Kałką jednak ponieśli ci straszną klęskę, której Tatarzy przecież nie wyzyskali, cofając się, a raczej — jak burza odlatująca się po zwycięstwie znowu na wschód, by wrócić w roku 1237 ze świadomym planem podboju bezkresnych ziem ruskich. Niezgoda książąt Rurykowiczów dopomogła (nie spowodowała, — bo Tatarzy i zjednoczoneby siły ruskie zwyciężyli dzięki wyższości taktyki i przewadze liczebnej) do podboju: książęta masowo poddawali się władzy chańskiej, bijąc czołem przed pogańskiemi bałwanami, nieliczni tylko (jak np. książę Michał z Czernichowa) oparli się i dali życie za wiarę; nieliczne też próbowały się bronić miasta (Włodzimierz, Kijów i inne) — zostały jednak łatwo zdobyte i splądrowane. Wygrana bitwa nad rzeką Siti oddała w ręce Tatarów całą Ruś — nad dolną Wołgą powstaje państwo mongolskie: Złota Orda, która przez dwa i pół wieku trzyma dzisiejszą Rosję w niewoli politycznej i kulturalnej. I rzecz ciekawa: **Eurazjanie** w przeciwieństwie do przedwojennej rosyjskiej tradycji historycznej — entuzjazmują się nietylko łagodnością rządów tatarskich, ale całą cywilizacją mongolską, stawiając ją znacznie wyżej od ówczesnej, średniowiecznej, zachodnio-europejskiej (patrz: Ws. Iwanow „My"). Co więcej, entuzjazmują się oni tym wielkim wpływem, jaki cywilizacja mongolska wywiera na urządzenia państwowe i społeczne, ducha, kulturę i psychikę rosyjską. Rzeczywiście, w świetle nowszych badań panowanie tatarskie nad Rusią trudno nazwać niewolą: co więcej trudno określić, jako walkę dwu kultur — przeciwnie, jest to uleganie jednej kultury wpływom drugiej. Toteż reakcja antymongolska i jej tryumf mają swe źródło nie w jakiejś świadomej woli narodu czy jego przodowników, woli wyzwolenia się z pod obcego jarzma (jak to np. miało miejsce w starożytnym Egipcie w okresie wyzwoleńczych bojów XVII. i XVIII. dynastji przeciw Hyksosom) — nie, działały tu momenty przypadkowe, czysto polityczne, osobiste, dynastyczne it.d. Nawet ten jedyny, a nam wydający się niewątpliwym moment religijny, walka o prawosławie — moment, specjalnie podkreślany przez tradycję, literaturę dawną i nową i oficjalną rosyjską naukę przedwojenną traci na wadze gatunkowej na skutek rewelacyj **eurazjan** co do niesłychanie szerokiej tolerancji religijnej Mongołów. Sprawy więc to niewyjaśnione jeszcze, a w każdym razie przeważnie mocno zaciemnione, cenne odkrycia Eurazjan napotkały na ostrą krytykę innych uczonych rosyjskich w dziedzinie więc pobudek ideowych walk z Tatarami, jak również stopnia **statarszczenia** ducha i kultury rosyjskiej trudno narazie mówić o ustalonych przez historję pewnikach; są tylko hipotezy. Mamy natomiast fakty: przez sto lat z górą książęta z rodu Rurykowiczów, jak rządzili przed podbojem, rządzą nadal w swych mikroskopijnych (z punktu widzenia całości obszaru Rosji) państewkach: Chan Złotej Ordy stanowi tylko bezapelacyjnie najwyższą instancję rozjemczą. Księstwa płacą Tatarom haracz i walczą pomiędzy sobą; co więcej, prowadzą nawet samodzielną (naogół jednak zgodną z interesami Tatarów) „politykę zagraniczną" na zachodzie (wierny wasal chanów, Aleksander Newski w obronie prawosławia zwycięża katolickich Szwedów i kawalerów mieczowych). Pod patronatem też Złotej Ordy wzmacnia się na początku wieku XIV. maleńkie księstewko moskiewskie. Władcy z Moskwy używają tej samej metody jaką na zachodzie wobec potężnych wasali stosowali Kapetyngowie i Walezjusze aż do Ludwika XI.: kłócili innych książąt pomiędzy sobą, by potem wykorzystywać ich słabość. W drugiej połowie XIV. stulecia podupada moc Złotej Ordy: Kazimierz Wielki bije Tatarów pod Lublinem, a książę litewski Olgierd nad Sinemi Wodami (1362), które to zwycięstwo oddało w ręce Litwy całą Ruś zachodnią i południowo-zachodnią, która i w dziedzinie kulturalnej i politycznej dzielić będzie przez czas długi losy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Tymczasem coraz to rosnąca w potęgę Ruś północno-wschodnia gotuje się pod wodzą rządzących nią absolutystycznie, na wzór tatarski — książąt moskiewskich — do walki z Tatarami. Wielki założyciel przyszłej potęgi moskiewskiej, Iwan Kalita (Kalita — tatarsk. „mieszek" — bo „zbierał Ruś"!) nie czuje się jeszcze na siłach wystąpić do jawnego boju, jak również i synowie jego: Iwan II. Piękny i Symeon Dumny. Dopiero wnuk Kality, a syn Pięknego — Dymitr odmawia chanatowi haraczu, a gdy armja chana Mamaja rusza na wyprawę karną przeciw krnąbrnemu księciu — Dymitr zastępuje jej drogę nad Donem i na Kulikowem Polu zadaje straszną klęskę (1380). Było to jednak raczej zwycięstwo moralne (jak Grunwald): Moskwa za słabą jeszcze była, by zniszczyć Złotą Ordę — przeciwnie, w parę lat po klęsce kulikowskiej chan Tochtamysz spalił miasto Moskwę — były to już jednak ostatnie podrygi konającej na skutek bynajmniej nie klęski, przez Dymitra zadanej, ale rozprzężenia wewnętrznego — potęgi mongolskiej. Konanie trwało bardzo długo: 100 lat — dopiero w roku 1480 Iwan III. przy pomocy chanów nogajskich z Krymu wyzwolił Rosję z pod panowania Mongołów: ostatnie zaś placówki potęgi państwa tatarskiego (Kazań i Astrachań) uległy orężu moskiewskiemu dopiero w początku drugiej połowy XVI. stulecia!

Teodor Parnicki.

Stulecie zapałki i pierwszego parowca

Niedawno w jakiejś „księdze wynalazków" czytałem wzruszające dzieje Jakóba Fryderyka Kammerera, urodzonego w r. 1796 w Wirtembergji, który osadzony w charakterze więźnia politycznego w twierdzy Hohenasperg wynalazł przed stu laty pierwszą zapałkę fosforyczną.

Niestety ruchliwi konkurenci z Wiednia odebrali mu tę zasługę, a apatyczny i lekkomyślny Kammerer nie starał się o podtrzymanie swych praw.

Potwierdzenie tego niecodziennego wypadku znajdujemy również w jednym z artykułów „Nouveau Larousse illustré", z tą tylko odmianą, że Kammerera uznano jako „premier fabrikant d'allumettes", zaś zasługę wynalazku zapałki fosforycznej przyznano niejakiemu Charles Sauria urodzonemu w Poligny, który dzieła swego dokonać miał jako młody chłopak.

Austrjaccy fabrykanci Romer i Preshel i tego wynalazcę ukryć chcieli przed okiem historji, która im przyznała tylko prawo ubiegania o zasługę rzucenia w tym czasie wynalazku na rynek handlowy.

Dziś spór o autora pierwszej zapałki nie jest jeszcze rozstrzygnięty, faktem jednak jest że Kammerer już w r. 1833 fabrykował pierwsze zapałki fosforyczne w swej fabryce Scafeld pod Zurychem, w której w pierwszym okresie zatrudniał 24 robotników. Ponadto z jego ramienia fabrykacją zapałek zajmowało się 70—80 chałupników, którzy łącznie z fabryką oddawali na rynek 800 tysięcy do 1 miljona zapałek, które znalazły odbiorców nietylko w Szwajcarji ale i zagranicą, ba nawet w Grecji. Niestety w siedem lat po śmierci Kammerera, który umarł w Ludwigsburg fabryka w r. 1864 zakończyła swą produkcję.

Zaznaczyć wypada, że poza fabrykacją zapałek Kammerer trudnił się wyrobem t. zw. zapalników systemu „Congreve", bębnów i jedwabnych kapeluszy.

Słów kilka o t. zw. zapalnikach „Congreve", których wynalazcą miał być angielski generał artylerji i inżynier nazwiskiem Congreve, któremu ponadto przypisują wynalazek rakiety ogniowej i kilka wynalazków w dziedzinie farb drukarskich.

Zapalniki te, to pewnego rodzaju zapałki większego formatu, których główy oblepione były masą, sporządzoną z siarko-antymonu, kali i z gumy arabskiej, jako materjału łącznikowego. Głowę tę wsadzano w papier przysypany piaskiem szklanym i energicznie pociągano. O ile — co się jednak bardzo często zdarzało — głowa zapałki nie odleciała, wówczas powstawał ogień.

W pochodzie wynalazku zapalnik systemu „Congreve" tem się różni od swych następców, że masa główki zapałek Kammerera czy Sauria'ego siarko-antymon zastąpioną została przez fosfor. Być może, że nastąpiło to u obu wynalazców równocześnie, napewno jednak właśnie w r. 1833 zastąpiono dotychczasowe ciężkie, żmudne aparaty do wywoływania ognia przez zapałki, które w technice ogniowej zrobiły prawdziwą rewolucję.

* * *

Sto lat minęło od daty, gdy pierwszy parowiec „Royal William" na linji Quebec — London przepłynął Ocean Atlantycki. Uroczystość tę uczcił rząd kanadyjski wydaniem 5 centowego znaczka pocztowego, z widoczkiem pełnego morza, którego fale pruje pod pełną parą „Royal William". Parowiec ten zbudowany w Quebec, należał do towarzystwa „Quebec and Halifax Navigation". Właścicielom tego okrętu zgoła nie marzył się jakiś rekord. Przez dłuższy czas służył parowiec do żeglugi przybrzeżnej, aż dnia jednego postanowiono sprzedać go do dyspozycji Londynu.

Dnia 5 października 1833 r. opuszcza nasz parowiec port w Quebec, ale nie płynie wprost do Anglji, lecz zatrzymuje się w Pictou, Nova Scotia, by zaopatrzyć się w zapasy węgla, który to ładunek w sile 300 ton, wypełnia całą niemal pojemność okrętu, wynoszącą 363 ton.

Na pokładzie parowca znajdowało się 36 członków załogi i siedmiu pasażerów, z których każdy za przejazd zapłacił po 20 funtów.

U brzegów Nowej Funlandji dostaje się okręt w obręb burzy, która uszkadza jedną z dwu maszyn okrętowych. Mimo silnego uszkodzenia okrętu kapitan zdecydował się nie zmieniać swego kursu, a po tygodniu pracował okręt dwoma maszynami. — W międzyczasie druga maszyna odmówiła posłuszeństwa. Lecz i z nią dał sobie kapitan Mc. Dougall radę.

Po dwudziestu pięciu dniach zatrzymawszy się etapem w Cowes na wyspie White, przybył parowiec do Londynu.

Podróż ta z kilkoma przeszkodami jest pierwszem zdobyciem Oceanu Atlantyckiego przez parowiec w czystem tego słowa znaczeniu.

Amerykanie, którzy chętnie gromadzą rekordy, twierdzą wprawdzie, że honor ten należy się parowcowi „Savannah"; był on jednak tylko żaglowcem, zaopatrzonym w dwa koła, pędzone parą, które puszczano w ruch tylko przy spokojnem morzu.

Na rachunek „Royal Williama" zapisać należy i drugi rekord. Sprzedany w Londynie za dziesięć tysięcy funtów i przeistoczony na hiszpański okręt wojenny „Isabelle Sequndo" oddał w bitwie pod San Sebastian pierwszy strzał armatni, jaki po raz pierwszy wystrzelono z parowca. W r. 1840 rekordzistę sprzedano do Bordeaux na szmelc.

Ciekawostki ze świata

Ilu Anglików służy w szkockich pułkach?

W dziale listów od publiczności jednej z londyńskich gazet toczyła się przez kilka tygodni dyskusja nad użyciem przymiotników „angielski" i „brytyjski" oraz rzeczowników „Anglicy" i „Brytyjczycy". Jeden z uczestników wspominał o szkockich pułkach, twierdząc, że niema w nich wcale Anglików. Na to ktoś inny odpowiedział mu statystyką z której wynika, że w gwardji szkockiej przeważają Anglicy (953 przy 666 Szkotach) i podobnie jest w innych pułkach prócz góralskich, gdzie na 2930 Anglików wypadła 7029 Szkotów.

Zgon lorda Grey'a

Zgon lorda Grey'a of Fallodon wydobył na światło dzienne nie tylko poważne wspomnienia historyczne, lecz i anegdoty. Wielki polityk lubił czasem żartować. Paryski **Intrasigent** przytacza następujący jego dowcip.

Pewnego razu szef któregoś z departamentów ministerjum wyjeżdżał do Paryża, aby wziąć udział w ważnej konferencji, i przyszedł pożegnać się z lordem.

— Mam nadzieję — rzekł minister, — że pan doskonale włada językiem francuskim.

— Naturalnie — odparł urzędnik, — byłem kilka razy w Paryżu i zawsze porozumiewałem się bez najmniejszej trudności ze służbą hotelową i z szoferami..

— Ach, jakże pan będzie się nudził, jeżeli nie znajdzie pan na konferencji ani służby hotelowej, ani szoferów...

Kto najdłużej panuje w Europie?

Najdłużej z władców europejskich zasiada na tronie królowa Wilhelmina holenderska, która wstąpiła na tron w r. 1890, mając lat 10. Do niedawna odpowiedź na pytanie brzmiałaby inaczej mianowicie Alfons XIII wstąpił na tron hiszpański w r. 1886, a raczej urodził się królem, gdyż ojciec jego zmarł na parę miesięcy przedtem. Lecz Alfonsa zmiotła rewolucja, więc rekord królowania należy do Wilhelminy.

—o—